



ŻYCIE SENIORA

NA WYŻYNACH

bezpłatnie

Nr 6 (26) czerwiec 2016

Od redakcji

Ogłaszam dwumiesięczną przerwę wakacyjną, co znaczy tyle, iż redaktorzy mają tyleż przerwy od mąk twórczych, co, od razu wyjaśniam, jest tylko niewinnym żartem, bowiem, jak widzę, przyjemność pisanie i radość publikowania jest u autorów Życia Seniora wyraźna i potrzebna, a najważniejsze, że czytelnikom zaspokaja głód czytania ciekawych myśli, opinii etc.

Redaktorom i Czytelnikom życzę udanych wakacji, właściwej do zwiedzania pogody, sił, aby dotrzeć tam, gdzie jeszcze nas nie było, i takich wrażeń z nowo odkrytych miejsc, i takich sympatii od nowo poznanych ludzi, żeby ich starczyło, co najmniej, do następnego lata.

Redaktorzy! Liczę na świeże teksty i foto-ilustracje do pierwszego po wakacjach numeru, niech inspiracja Was nie opuszcza, ale pamiętajcie o sobie i wypocznijcie.



Żubrze, gdzie jesteście?

Do Białowieży jeździ się oglądać żubry, największe lądowe ssaki Europy. Żubry, te z rezerwatu pokazowego, potrafią być bardzo nieprzy-

chylne turystom i ani myślą się im pokazywać, zwłaszcza, gdy turysta czeka na nie z gotowym do pstryknięcia aparatem.

Owszem, gdzieś w oddali przy paśmie widać ich potężne zadki, czasem któryś łaskawie obróci łeb za siebie, ale nie po to, żeby turysta zrobił zdjęcie Królowi Puszczy, tylko po to, żeby ów turysta najadł się emanującą z ich oczu pogardą i w ogóle jakąś niechęcią do człowieka, który najpierw żubra wytepił niekontrolowanymi polowaniami królewskimi a potem, tylko prawdopodobnie, bo nie było żywego wzorca, odtworzył dzięki genetyce, tego polskiego bizona. Tak więc, nie dziwmy się zachowaniom żubrów w rezerwacie, bowiem gdzieś w odtworzonym kodzie genetycznym, ten jeden gen, który kazał żubrom unikać człowieka, jako swojego wroga pozostał, wyjątkowo silny i wyraźnie kształtuje stosunki człowiek – żubr. Nie wiem, jak to by było spotkać żubra na wolności, na jego żerowiskach w puszczańskich ostępach, ale myślę, że lepiej jest stosować się do ostrzeżeń od znawców tematu płynących i z nim nie zadziwiać

ciąg dalszy na str. 3



Wrzos w Tykocinie

Felieton trochę wakacyjny

Wakacje!!! Wakacje!!! Ale fajnie! Wolne! Nic się nie musi, można się wylegiwać, jeść o dziwnych porach, włóczyć się bez celu, wszystko można, bo to wakacje!!

Pamiętacie jak to było w dzieciństwie? Człowiek się nie mógł doczekać końca czerwca! Czasami wizja uroczystości szkolnych z nieuchronnym elementem w postaci rozdania świadectw trochę gasiła entuzjazm, ale na ogół było dobrze. No, chyba, że poprawka... Nigdy nie doświadczyłam poprawki, nawet z fizyki. Fizyka to był taki przedmiot, z którego moja ocena globalna oscylowała niezmiennie w niskich stanach trójki. Mówię, jak było, bez ubarwień. Nauczyciele pewnie wiedzieli, że tak już chyba musi być i nikt mi poprawki nie zaordynował, bo pewnie do tej pory bym tę klasę powtarzała... Ale co tam gadać o poprawkach i różnych innych formach gnębienia młodzieży, którą kiedyś byliśmy. Było, minęło, o przykrych rzeczach się zapomina, a miłe pamięta.

Jak wakacje, to, oczywiście, nieśmiertelne pytanie „GDZIE?” Gdzie się pojedzie na wakacje? Za naszych szkolnych czasów szczególnie wiele możliwości nie było. A może było, tylko tak się przyzwyczailiśmy myśleć? No, to po pierwsze – jak ktoś miał rodzinę na wsi, to było wiadomo; szkoła się kończy i do babci, albo wujka, czy kto tam kogo miał. Fajnie mieli. Jak kto nie miał rodziny na wsi, to już było trudniej. Ale były kolonie i obozy harcerskie i „cywilne”. W sumie nie było źle; jeden miesiąc na koloniach a drugi z rodzicami na jakichś wczasach w ojczyźnie, albo jak się komuś trafiło, to w Bułgarii. Kawał świata, nie? Teraz aż się w głowie kręci jak się słucha planów wakacyjnych. Czasem nie wiadomo gdzie na mapie szukać miejsca wybranego przez jakiegoś zapalonego podróżnika. Pewnie to wina nieobecności na lekcjach geografii!

Lato, cudowna pora roku. Ciepło, czasem skwar nie do wytrzymania, ale cudowne. A kto lubi letnie burze? Takie

prawdziwe, z wichrem szarpiącym gałęzie drzew, granatowymi chmurami, z błyskawicami na pół nieba i ogłuszającymi grzmotami, od których ziemia się trzęsie? Ja uwielbiam! Pamiętam taką burzę nad morzem w Kątach Rybackich lata temu. Wiem, że mądrością ani rozsądkiem się wtedy nie popisałam, ale to było silniejsze ode mnie, po prostu musiałam to widzieć; ciemność prawie absolutna, ja na szczycie wydmy pośród wielkich sosen, w dole plaża – szalejący wiatr, ryk morza, jasne smugi piany na wzburzonych falach, huk grzmotów i oslepiające błyski wyładowań i wreszcie deszcz, ale jaki! Jedno z moich najpiękniejszych wspomnień.



Jeżdżą ludziska po świecie do nieprzytomności, byle dalej, byle bardziej egzotycznie, byle nie w kraju. A dlaczego właściwie, pytam się? Co jest złego w spędzaniu czasu w gospodarstwie agroturystycznym? Czy to jest gorsze od tkwienia w strefie strzeżonej hotelu dla cudzoziemców w Egipcie? Wiem, że Bałtyk to nie ciepła, błękitna laguna, ale jest przepiękny w swojej surowej zielonkawoniebieskiej szarości, o proszę, czy jakieś inne morze ma tyle kolorów? Pewnie, że inne morza są piękne, niektóre ciepłe, i są daleko. Może to o to właśnie chodzi w tych wszystkich naszych wakacyjnych wędrowkach? O to, żeby być daleko, żeby się przemieszczać, żeby wędrować, zobaczyć coś innego. Wędrowki ludów to nasze dziedzictwo, mamy to w genach. A poza tym, od 27 lat wreszcie możemy. A jak można, to trzeba. Moi rosyjscy przyjaciele podróżują ile tylko sił i środków

starcza, bo, jak mi powiedzieli „a nuż znowu nam granice zamkną”. Nam, mam nadzieję to nie grozi...

Kiedyś truskawki pokazywały się w połowie czerwca a w tym roku już prawie dwa tygodnie kuszą zapachem, smakiem i kolorem. Smaki lata – truskawki, poziomki, maliny, jabłka, no i czereśnie! Czereśnie przy których tracę resztki rozsądku i zamiast zachować się godnie i z umiarem rzucam się na nie i pożeram kilogramami, kwintalami, tonami. A młode kartofelki z koperkiem i zsiadłym mlekiem! Pamiętamy to z dzieciństwa.

Świat się zmienia. Trudno teraz o prawdziwe zsiadłe mleko, takie gęste z kożuchem śmietany. Teraz nam wmawiają, że powinniśmy pić jakieś nędzne pasteryzowane popłuczyny, które się nie zsiadają tylko psują. Owoce zamiast z sadu przynosimy z supermarketu, no dobrze, z bazaru, ale i tak pryskane.

Świat się zmienia. Niektórzy się cieszą, inni narzekają. A świat się tym nie przejmuje, tylko się zmienia, coraz szybciej się zmienia. Ani to dobre, ani złe, tak ma być, bo zmiany są konieczne. Jedne są „oswojone”, znane, przywykliśmy do nich – noc i dzień, pory roku, coroczne wyjazdy czyli zmiana miejsca pobytu, zmiana adresu, zmiana pracy, zmiana stanu cywilnego, inne nas zadziwiają, czasami przerażają i niepokoją, ale to też są tylko zmiany, tyle, że czego innego dotyczą i w innej skali. „To też minie” - bardzo polubiłam to powiedzenie. Jest krzepiące, co tu dużo mówić.

Ale teraz mamy piękne lato, słońce, zieleń, zapachy kwiatów i obfitość darów natury i cieszymy się tym. Czerwiec z najdłuższym dniem i magiczną najkrótszą nocą pełną obietnic, wróżb i tajemnic. Lipiec z gorącymi dniami, żniwami w palącym, ostrym słońcu. Sierpień łagodniejszy, już lekko wieczorami zamglony, ciężki od owoców w sadach. Lato.

Chyba już skończę, bo przecież – WAKACJE!!! Cieszymy się latem i swobodą! Do zobaczenia. Krysia

Żubrze, gdzie jesteś?

ciąg dalszy ze str. 1
rać. Raczej bez paniki brać nogi za pas i zniknąć mu z oczu.

Skoro żubra trudno naocznie trafić, trzeba zatem, cieszyć się oglądaniem innych zwierząt w rezerwacie, chociaż one zamknięte wewnątrz ogrodzonych wybiegów prezentują zachowania podobne do zachowań ziomków na wybiegach w ogrodach zoologicznych. Chciałyby żyć na swobodzie, ale los nakazał im służbę żywych okazów za drucianą siatką ku uciechu gawiedzi.



Rodzina jeleni

winność ze znużeniem, czasem tylko ożywią się i biegają wzdłuż ogrodzenia z myślą, że może jakaś dziura pojawiła

się w nim od wczoraj i uda się zażyć wolności. Nic z tego kochane zwierzaki, musicie poświęcić żywot dla próżności i zachcianek człowieka, który edukacyjnymi, ba, naukowymi względami waszą niewolę argumentuje.

Sama Puszcza Białowieska ma dla turystów wiele innych atrakcji. Liczne szlaki turystyczne – piesze i rowerowe – doprowadzą nas do miejsc osobliwych, miejsc niezwykłej urody i szczególnej wartości przyrodniczej. Jednym z wielu takich miejsc jest Szlak Dębów Królewskich, czyli skupisko kilkudziesięciu okazów, którym nadano imiona Królów Polskich. Niektóre mają ponad czterysta lat i już niedługo staną się pożywką i pokarmem dla flory i fauny przygruntowej. Zastanawiałem się, ile odcieni

koloru zielonego może występować wśród drzewostanu puszczańskiego? Myślę, że tysiąc kiedy świeci słońce, ale



Lisia niewola

gdy pada deszcz ów tysiąc zastępowany jest nowym tysiącem odcieni mglistych, nad ranem o świtanie, pojawia się kolejny tysiąc na miejsce poprzedniego, a wieczorem przy zachodzącym słońcu nowy tysiąc złotej zieleni itd. To, co mnie w puszczy urzekło to nie feeria barw (piszę to w połowie czerwca), ale feeria jednej barwy, jednego koloru, którą namalować można by i scenkę rodzajową na polowaniu, i Zwiastowanie, i zabawy dziecięce, krajobraz i architekturę. Ciekawi mnie, czy kobiety, które potrafią nazwać setki kolorów, potrafiłyby zachować logikę nazewnictwa przy próbie nadania imion tym niezwykłym barwom, chociaż dla mnie, dla faceta, jedynie jednemu kolorowi – zielonemu.

ciąg dalszy na str. 4



Wrzos na Szlaku Królewskich Dębów

Żubrze, gdzie jesteś?

ciąg dalszy ze str. 1

I takie to właśnie refleksje mam po wizycie w Puszczy Białowieskiej, w której, jako że to tak zwane zielone płuca Polski, powietrze jest czyste, pachnące lasem, tlenu w nim tyle, co normalywnie przyjęte, a woda ma smak i zapach, niczym ta z górskich źródełek. Nie udało mi się, niestety, posmakować regionalnych potraw, prędzej kebab niż kartacz wchłonie tutaj turysta. I, to w każdym przeze mnie odwiedzonym miejscu: czy to w Tykocinie, Choroszczu, Białymstoku, Hajnówce, czy w Białowieży. Białystok wypiękniał, mocno się zeuropeizował, Tykocin ma godną uwagi synagogę, i bezsensowny w swojej wielkości rynek, Choroszcz to tylko odprysk Pałacu Branickich, a Hajnówka zielona jest, a w niej Cerkiew św. Trójcy, a w niej proboszcz, świetny, nowoczesny ksiądz prawosławny, na którym można by oprzeć ekumenizm, a co najmniej relacje katolicyzm – prawosławie. Białowieża nadal jest urokliwa, i park carski (może z dużej litery) i muzeum, to coś, dla czego warto tam pojechać. Tylko



Synagoga w Tykocinie

wszędzie ci handlarze tymi duperelami z Chin i niby-regionalnymi wyrobami rękodzielniczymi, tak, jakby już całkiem tradycyjne wytwórstwo padło na dno. Nie mogę w to uwierzyć, przecież w Tykocinie widziałem najbardziej ludowego z ludowych rzeźbiarza.

Mam nadzieję, że tych kilka ilustracji fotograficznych, chociaż czarno – białych, będzie dokumentowało moje słowa, którymi zachęcam do krótkiego lub dłuższego (lepszego) pobytu w tych okolicach i czerpania płucami nieograniczonego tlenu, zapachów, mam na-

dzieję, że także smaków. Myślę, że bez wizyty tamże, nie odpowie sobie nikt na pytanie ostatnich dni – czy wycinać te świerki zaatakowane kornikiem druzkarzem, czy pozwolić puszczy na samoistną reakcję obronną lub poddanie się szkodnikowi? Ja sobie odpowiedziałem, także pozostali uczestnicy wycieczki Klubu Seniora „Wrzos” mogą sobie odpowiedzieć na to, w zależności od punktu widzenia, ekologiczne lub gospodarcze, a może polityczne pytanie, bowiem tam właśnie byli.

/jo/



Który to król?



Ostatni twórca ludowy



Choroszcz



Białystok. Pałac Branickich

Historie własne i zasłyszane BOLUŚ

Dzieciństwo Bolusia – grobowiec

Boluś z chłopakami bawili się dosyć daleko od domu. Zbliżał się wieczór. Boluś zaniepokoił się, że przed nocą, idąc drogą skąd przyszli, nie zdążą do domu. Postanowił być odważniejszy od kolegów i iść do domu przez las. Kiedy wszedł do lasu, zrobiło się bardzo ciemno. Wziął jakiś kij, dotykał przed sobą krzaków i drzew, aby nie zgubić ścieżki. Wtem łup, wpadł do głębokiego dołu. Ślisko, zapachy nieprzyjemne, ciemno. Nie ma jak się wydostać. Obmacał ściany dołu. Okazało się, że w ścianach są jakieś skrzynki. Jednak wydostać się nie ma jak. Zbyt ślisko, całkiem ciemno, no i robi się coraz chłodniej. Ale jakie miał wyjście? Żadnego. Musiał siedzieć w tym dole do świtu. Kilka godzin. Kiedy się narzucie rozwidniło, rozejrzał się dookoła i odkrył, że te skrzynki, to są trumny. Bardzo stare i nie za duże, chyba dziecięce. Trumien było kilka. Bolusiowi od razu, zamiast zimno zrobiło się gorąco. Myśli. To już chyba koniec. Przyjdzie mu tu skończyć żywot. O nie! Boluś był bardzo sprytnym chłopakiem. Rękoma zaczął wygrzebywać ze ścian korzenie wystające z drzew rosnących wysoko. Jak umiał, tak powiązał ze sobą korzenie i jak po drabinie wydostał się z tego grobowca. No i pędem do domu. Nigdy już tam się nie błakał. Przygodę zapamiętał na całe życie.

PanEw

Dzieciństwo Bolusia – zwirowisko

Kiedy Boluś był małym chłopakiem dzieciaki nie miały zabawek tak jak dzisiaj. Zabawę wymyślali sobie sami. Boluś z chłopakami poszli bawić się na zwirowisko. Fajnie się zjeżdżało

z górki usypanej ze żwiru. Wtem nadeszła duża, deszczowa chmura. Oj nie dobrze. Za daleko do domu. Boluś wymyślił, że wszyscy przeczekają deszcz na zwirowisku. Każdy wygrzebie rękoma jamę w żwirze i tam się schowa. Bo-



luś był bardzo sprytny i jako pierwszy wygrzebał jamę na całą długość swojego ciała i tam się schował. Chłopakom poszło nieco gorzej. Tylko do połowy. I całe szczęście. Boluś postanowił jeszcze trochę podkopać żwiru, leżąc na brzuchu. Wtem łup. Sekunda a może mniej i Boluś został cały przysypany grubą warstwą żwiru. Myślał, że to już koniec. Śmierć na własne żądanie. Nie może ruszyć nawet najmniejszym palcem i nie ma czym oddychać. Po dłuższej chwili, ktoś łapie go za nogi i wyciąga spośród żwiru. Miał szczęście, że wśród kolegów był jego młodszy

brat. Po obsunięciu się zwirowiska, a że nie byli przysypani całkowicie, więc łatwiej się wydostali. Ale ze strachu od razu zaczęli uciekać, nie oglądając się za siebie i nie patrząc, czy kogoś nie brakuje. No, ale braciak zaczął krzyczeć, że nie ma jego brata i że muszą go ratować. Koledzy wrócili i Bolusia ledwie żywego odgrzebali. Boluś zawdzięcza braciakowi życie. Już więcej chłopaki nie bawili się na zwirowisku.

PanEw

Dzieciństwo Bolusia – sanki

Przyszła zima. Boluś uwielbiał zjeżdżać na sankach z górki nieco oddalonej od domu.

Miał jednak przykazane przez ojca, że o ósmej wieczorem ma być w domu. Boluś wprawdzie nie miał zegarka, ale wiedział jak wygląda niebo o ósmej wieczorem. Co zrobić? Z górki zjeżdża się pysznie. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Rozpędzić się i na śledzia. Już wiedział, że czas jest dawno przekroczony i że dyscyplina, która wisi na gwoździu w przedpokoju będzie w użyciu. Ale co tam. I tak jest późno i tak. Jeszcze sobie raz zjedzie. Rozpędził się i z całej siły, na śledzia, zjeżdża sobie z górki. Ale pech. Sanki jakoś skrzyły i Boluś tylko przez moment zauważył, że pędzi prosto na wielkie drzewo. Zdążył tylko uchylić głowę i sankami w

drzewo – łup. Uratował życie, ale sanki rozsypały się w kawałki. To już koniec. Nie ma co wracać do domu. Będzie lanie. Chodzi, szwędą się, ale przecież musi wreszcie wrócić. Wykombinował ratunek dla siebie. Poszedł na tył sklepu spożywczego, wyjął ze śmietnika karton po jakimś towarze, porwał go na kawałki i włożył sobie w spodnie. Teraz może wracać. Ojciec bez słowa zdjął dyscyplinę z haka i wymierzył mu kilka razy. Boluś na wszelki wypadek darł się w niebogłosey i udawał, że go bolało. To było życie.

PanEw

Ołówkiem i pędzlem

Ile to już lat? Cztery? nie, chyba już pięć. A zresztą, jakie to ma znaczenie? Po pierwsze, jak głosi mądrość ludowa, szczęśliwi czasu nie liczą, a po drugie, to jak nagle wyosobnić coś, co jest integralną częścią życia? I po co?



Wtorek i czwartek wyznaczają rytm, według którego funkcjonujemy. Tak to się jakoś stało, przynajmniej ze mną... Sporo nas jest w tej pracowni, jak się tak zdarzy, że nikt nigdzie nie wyjechał, nikt nie musi akurat pilnować wnuków, nikt nie cierpi na fotelu u dentysty, to trudno się pomieścić. Ale co tam, mieścimy się jakoś i dobrze jest! Jeszcze nikt nikogo pędzlem nie dźgnął ani farbą jakoś szczególnie dotkliwie nie pochłapał. Pracownia plastyczna w NOK-u to naprawdę niezwykle, wręcz magiczne miejsce. Właściwie, jak tak spojrzeć z boku to nic szczególnego; ciasnawo, sztalugi niejedno już widziały i przeszły w swym długim życiu, na regałach twórczy bałagan – słoiki z ołówkami, kredkami, nożyczkami, klamerkami, papiery różne, pudełka z farbami, pojemniki z pędzlami, obok piętrzą się sterty papierów i rysunków, na ścianach mniej i bardziej udane efekty działań artystycznych, jednym słowem cud!! Wielkie okna, przez które czasem zagląдают ludzie zaciiekawieni tym, co się tu dzieje. Niektórzy tak się zapatrzyli, że teraz ich przez te okna oglądają... Całkiem fajna z nas gromadka szczerze życzliwych sobie i zaprzyjaźnionych osób. Aż się czasem

sami dziwimy jak to się stało i wciąż z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, dzieje... Tak to jakoś jest, że ludzie się garną do „dobrych” miejsc, o których się mówi, że emanują, czy, że panuje w nich dobra energia. Niektóre są takie same z siebie, ale to na ogół tworzy naturalne, a niektóre takimi się stają. Mury zwykłego budynku, zgromadzone wewnątrz przedmioty zaczynają powoli nasiąkać tym dobrem, które się w nich dzieje, dobrem i pięknem...

To nie jest pierwsza pracownia plastyczna, do której przyszedłam się uczyć. Było trochę prób wcześniej. Uczciwie mówię, że się starałam, ale jakoś nigdzie miejsca nie zagrzałam – nie było tej energii w murach, no, powiedzmy szczerze, nie tylko, a właściwie nie głównie o mury tu chodzi. Każdy dom musi mieć gospodarza, każda grupa lidera. Liderem czasem bywa nauczyciel. Tylko dobry nauczyciel ma szansę być liderem. Tylko bardzo dobry nauczyciel jest liderem, który spaja grupę i tworzy miejsce, w którym chce się być. Miejsce z energią tak dobrą, że ludzie stają się nie tylko uczestnikami wspólnych zajęć, ale przyjaciółmi chętnie spędzającymi razem czas. Mamy takiego nauczyciela. Tak się w miarę kolejnych zajęć porobiło, że z Pana Krzysztofa Niemirki stał się dla nas Krzysiem. Bardzo nas cieszy to, że zwracamy się do siebie po imieniu – jakoś tak jeszcze „rodzinniej” się stało.

I tak jakoś w tym twórczym bałaganie, ciasnocie, przerwie na herbatę i dobre rzeczy o 11-tej, zupełnie nie wiadomo jak i nie wiadomo

kiedy my, w zdecydowanej większości totalni nowicjusze zaledwie nieśmiało próbujący coś narysować czy namalować nauczyliśmy się rzeczy, o których nawet nie mieliśmy wcześniej pojęcia. Jakoś tak, nie wiadomo jak i nie wiadomo kiedy poznaliśmy różne tajniki warsztatu, zaczęliśmy coraz więcej i coraz lepiej rysować, malować. Odkryliśmy, że każdy ma swój sposób widzenia i pokazywania świata. Przekonaaliśmy się, że życie i możliwości rozwoju nie kończą się kiedy ostatni raz zamknęliśmy za sobą drzwi firmy, w której czasem przez wiele lat pracowaliśmy. Realizować się można nie tylko zawodowo. Ten czas jest dla nas i powinniśmy o tym stale pamiętać. To nie jest egoizm, to właściwe i zdrowe podejście. Każdy człowiek ma potrzebę kreacji, wyrażenia siebie, swojej indywidualności, wrażliwości. Nie każdy sobie na to pozwala. Nie każdemu na to pozwalają tak zwane warunki zewnętrzne. Niektórzy chcą, pozwalają sobie i nie chcą poddać się uwarunkowaniom. Całe szczęście jest takie miejsce, taki czas i taka osoba dzięki której jest to możliwe. W grupie zawsze lepiej i milej, nawet indywidualistom... Jest wiele rzeczy drobnych i dużych, za które jestem wdzięczna życiu. To jest jedna z największych.

Krystyna Pokulniewicz-Szmańda



Krótki tekst o kompromisie

Każdy z nas jest inny, a musimy żyć razem, w pracy, w rodzinie. Inność jest wielkim bogactwem, ale też stwarza trudności. Bez kompromisów nie da rady.

Kiedyś przeczytałem zdanie: „Wszystko jest muzyką i gra, ale każdy ma swoją melodię.” To zdanie zapadło mi w pamięci i dlatego powstał załączony obraz. Kiedyś też wysłuchałem w radio rad udzielanych przez panią psycholog. Przekonywała, aby w trudnych dyskusjach starać się najpierw wysłuchać „przeciwnika”. Osiąga się wtedy podwójną korzyść. Po pierwsze, może dowiemy się czegoś, co przeoczyliśmy, czegoś się nauczymy i tym sposobem trochę odpuścimy przeciwnikowi. Po drugie poznamy jego argumenty i będzie nam łatwiej ripostować. To duża mądrość (szczególnie przydatna dla 60+), ale wymaga poskromienia własnych emocji.

Zaślepienie i „totalna opozycja” nie prowadzą do rozwiązania konfliktów, a obserwujemy je coraz częściej w życiu codziennym i niestety w polityce. Dlatego gdy zdarza mi się oglądać tzw.

debaty, oglądam do momentu, gdy zaproszeni zaczynają mówić jednocześnie. Nie słuchają się wzajemnie tylko dosłownie wykrzykują swoje racje.

Przypomniało mi się zdarzenie, które dać słowo miało miejsce. Za głębokiej komuny, kiedy jeszcze byłem młody, przyjechał do nas do Polski w odwiedziny wujek z Kanady. Będąc w Zakopanem wsiadł do autobusu z wykupionym w kiosku biletem. Po krótkim czasie pojawił się kontroler, który uznał bilet za nie ważny, bo nie był skasowany. Zażądał zapłacenia kary. Wywiązała się burzliwa wymiana zdań:

– Bilet jest nie ważny bo nie skasowany.

– To niech pan go sobie skasuje albo wyrzuci. Mnie jest niepotrzebny. Wykupiłem i jadę.

– Proszę dokumenty.

Wujek pokazał paszport, ale nie dał kontrolerowi do rąk.

– Zaraz wezwę policję

– Panie, daj mi pan spokój i nie strasz policją i możesz mnie pan w dupę pocałować. Kupiłem bilet i jadę.

Kontroler widząc, że zrobiła się awantura, a ludzie jak zwykle u nas podzielili się na dwa obozy, kazał kierowcy jechać na komisariat. Komendant wysłuchał obu stron, sprawdził dokumenty wujka i okazane odznaczenia wojskowe. Widząc wściekłych pasażerów, którym pokrzyżowano plany wycieczkowe, po dłuższym zastanowieniu zdecydował:

– Panowie sprawa jest skomplikowana. Trzeba pójść na kompromis. Pan z Kanady nie musi płacić mandatu a pan kontroler nie musi pana z Kanady całować.

Jak widać z każdej, nawet trudnej sytuacji jest wyjście kompromisowe. Myślę jednak, że gdyby w sytuacji wujka znalazł się pan Kowalski sprawa miałaby inny finał. Pewne jest natomiast, że tam gdzie brak jest woli porozumienia, potrzebny jest odpowiedni człowiek, który ma możliwość decydowania.

Oj! Kończę już, bo muszę iść do sklepu. Poszliśmy z żoną na kompromis. Jeśli pójde do sklepu, to nie będę musiał odkurzać.

Marek K



O zalewaniu robaka, czyli jak przestałem pić cz. 2

Po wnikliwym badaniu, Pani Doktor zadała rutynowe pytanie:

- Pije pan alkohol?

- Piję - odpowiadam zgodnie z prawdą

- Jak dużo i jak często?

- Nie przekraczam 12 butelek piwa tygodniowo, czyli poziomu maksymalnego według wytycznych Ministerstwa Zdrowia Wielkiej Brytanii i mam świadomość że wytyczne PARPA (polskie) są ostrzejsze. Po wstępnej diagnozie zostałem poinformowany, że Pani Doktor podejrzewa mnie o początki polineuropatii alkoholowej, ale procedury do refundowanych badań wymagają hospitalizacji, czyli około tygodniowego pobytu w szpitalu.

Dostałem skierowanie na oddział neurologiczny z podejrzeniem polineuropatii alkoholowej, (skoro nie ma innego wyjścia, a czując się nie tak do końca niewiniątkiem, może lepiej dać się zdiagnozować pod szyldem alkoholika, niż pozostać w niewiedzy), W pakiecie znalazły się badania tomograficzne kręgosłupa, rezonans magnetyczny i elektromiografia (dosyć drogie badania według wyceny NFZ). Podczas obchodu, w asyście lekarzy, ordynator oddziału prezentuje mój przypadek: facet za dużo popijał i ma za swoje, co wzbudza powszechną wesołość lekarzy i obecnych na sali pacjentów, a odwrotnie, moje oburzenie: w końcu wydano kilka tysięcy złotych na badania i nie postawiono precyzyjnej diagnozy. Moja przewaga informacyjna polegała na tym, że przed godziną wróciłem z badań i polineuropatię wykluczono! Prawdopodobnie ordynator przestudiował „po łebkach” mój przypadek, albo nie przestudiował wcale, co świadczyłoby o nadmiarze pracy lub, co gorsza, niechlujstwie i lekceważeniu

pacjentów. Przy wypisywaniu ze szpitala, lekarz prowadzący (MD spec. Neurolog!) poinformował mnie: Wykluczaliśmy podejrzenie polineuropatii. A te bóle głowy? -pytam. Prawdopodobnie miewa Pan ataki migreny, przyczyny migren są nie do końca poznane, ale u kobiet mijają po ustaniu menstruacji, czyli w wieku przekwitania. Pan jest w odpowiadającym wieku, tak że bóle powinny ustępować. Poczulem się w sytuacji niezbyt komfortowej: Przecież ja w życiu nie miałem menstruacji!!

- Panie Doktorze, a te „odjazdy”?

- Niech pan w czasie napadu bierze Paracetamol, to powinno pomóc.

- Panie Doktorze, ta diagnoza nie wydaje mi się słuszna, mam czyste pocho-



czenie robotnicze, żadnych koligacji z arystokracją, to skąd te migreny?

- Po prostu boli Pana głowa.

- A to postępujące osłabienie?

- przepiszę witaminy i wyleczymy.

Pan Doktor prawdopodobnie przez grzeczność powstrzymał się od komentarza, że bóle głowy występują na skutek spożywania niewłaściwie dobranej ilości alkoholi, w szczególności niereaktyfikowanych (wówczas byłem smakoszem whisky). Na pocieszenie, diagnoza nietrafiona, ale po kilkuletnich bólach pochodzenia reumatycznego przerywanych rehabilitacją, mam przynajmniej dokładnie zinventaryzowany kręgosłup.

Po wyjściu ze szpitala, solidnie poddałem się kuracji witaminowej i odniosłem wrażenie, że stan mojej kondycji jakby uległ poprawie. (czyżby wskutek działania efektu placebo?!). Aż do momentu wyjazdu na Święta Wielkanocne w góry Świętokrzyskie. Otóż po Świętach w Górach Świętokrzyskich, przed wyjazdem do Warszawy dopadła mnie „migrena”, jak to zdiagnozował Pan Doktor (MD Spec. Neurolog!). Na prostej trasie jak „krajowa 7” dwukrotnie gubiłem drogę! Natychmiast przekazałem pani Doktor prowadzącej, z przychodni przyszpitalnej objawy mojego ataku „migreny”. Na „cito” skierowała mnie na badanie tomograficzne głowy i rezonans magnetyczny.

Szczęściem, było wolne miejsce do tomografu (z reguły czeka się w kilkutygodniowej kolejce). Po badaniu, wśród personelu obsługującego tomograf, zauważyłem coś rodzaju paniki. Po konsultacji z Izbą Przyjęć, podjęto decyzję natychmiastowego pozostawienia mnie w szpitalu. Próbowałem dopytać szczegółów.

Otrzymałem lakoniczną odpowiedź: ma Pan zmiany w mózgu, musi Pan pozostać w szpitalu. Pomimo, że powyższa informacja mocno mnie wystraszyła, próbowałem wytargować zwłokę w przyjęciu, jednocześnie żartując:

- Zaraz, chwilę, najpierw muszę uporządkować swoje sprawy, sporządzić testament, przekazać hasła i kody do kont i kart kredytowych

- Niech Pan nie panikuje, przecież ma Pan 90% szans na wyleczenie

- A te 10%? Zapytałem.

- W końcu to jest głowa - otrzymałem lakoniczną odpowiedź.

(c.d.n.)

Zbyszek K.

Wydawca: Natolińskie Centrum Seniora – Klub Seniora „Wrzos”. Adres redakcji: Natoliński Ośrodek Kultury, 02-791 Warszawa, Na Uboczu 3, tel. 22 409 29 31, program@nok.art.pl

Redakcja jednoosobowa /jo/ - teksty i fotografie. Współpraca: W.K., PanEw, Wasza Krysia. Redakcja techniczna: OLPI. Druk kserograficzny: NOK.

CZYTAJ NAS W INTERNECIE – www.nok.art.pl/zycieseniara